

O PROCESIE TWÓRCZYM

Podstawą mojego procesu twórczego jest otwarcie. Otwarcie na to, co przychodzi. Z biegiem czasu staje się to dla mnie coraz bardziej jasne.

Otwarcie, gotowość? Aby to się dokonało, ważna jest wolność od różnych przeszkód w tworzeniu. Może ich być wiele, z osobą samego malarza na czele. Chodzi o ignorowanie zewnętrznych i wyzbycie się wewnętrznych oczekiwań i założeń. W stosunku do siebie, malowania, sztuki. Więc może to nie gotowość, a raczej pewnego rodzaju czystość, *zrobienie miejsca*? Wszystko odbywa się dosyć nieświadomie. Nieco bardziej świadome jest to, że maluje się, kiedy ma się ku temu powód. Tzn. jak coś przychodzi, a nie w oparciu o własne pomysły. Absencja procesu wymyślania, poszukiwań inspiracji.¹

Co przychodzi i jak? To zmienia się nieco na przestrzeni lat. Pamiętam, że w początkach mojej pracy twórczej *pojawiały mi się* bardziej zdefiniowane (ale też o wiele bardziej proste) *rzeczy*.² I bywało tak, że nadchodził moment, w którym sięgałam po pędzel i na płótnie pojawiało się TO, tzn. zmaterializowane coś, co wcześniej nadeszło. Od początku było wyraźnie wizualne. Od pewnego czasu jest to nieco bardziej w sferze przeczucia. Tzn. to nie tak, że w głowie pojawia mi się wizja i przenoszę ją na papier, raczej zarys czegoś, a potem dużo dzieje się podczas samej pracy. (I swoją drogą - prace moje są teraz bardziej złożone pod względem formalnym.) Zaryzykowałabym stwierdzenie, że wiąże się to z większym otwarciem, nie zamykaniem się na ten pierwszy przeblysł, tylko poddanie się procesowi, przyjmowanie tego co pojawia się także w trakcie.

Złożenie prac z ostatnich lat polega głównie na użyciu wielu kolorów. Kolor zwykły być dla mnie czymś zupełnie obcym, tzn. w starszych obrazach przeważa czerń i biel. Powoli zaczął się pojawiać i w niezrozumiały sposób moje prace przeistoczyły się w tęczę o dziwnych kształtach.

¹ Zdaję sobie sprawę, że sposób w jaki mówię o moim procesie twórczym brzmi momentami tak, jakbym postrzegała siebie jako bezwolne narzędzie. Trudną byłaby decyzja o tym, gdzie, na linii rozpiętej pomiędzy artystą-bogiem a artystą-narzędziem, należy(?) się znaleźć. Ile wolności, ile kontroli? Czy należy w ogóle o tym decydować, czy da się? To osobny temat. Wolność jest mi oczywiście bezporównywalnie bliższa (wolność jako narzędzie?!), jednak zauważam, że ostatnimi czasy pojawia się także pewien rodzaj kontroli. Może chodzi o to, że wraz ze wzrostem umiejętności rozumiem pewne decyzje lepiej, nawet jeśli są podejmowane spontanicznie?

² A może było tak, że one wydawały mi się bardziej zdefiniowane, bo cały ten proces był dla mnie czymś nowym i niezwykle było to, że coś przychodzi, więc wydawało się wyraźniejsze...? A bardziej *proste* były same obrazy?

Jak powstają tak kolorowe prace, skoro nie mam wcześniej zbyt wyraźnej koncepcji? Czasami zaczyna się od szkicu: ołówek, cienkopis i kreślenie linii. Punktem wyjścia bywa jakaś twarz, postać, często układ abstrakcyjny (mniej lub bardziej geometryczny), czasami odniesienie do pejzażu, a często po prostu COŚ, czego nie jestem w stanie odnieść do niczego znanego. Podczas kreślenia nadchodzi moment kiedy albo jest ich wystarczająco, tzn. nie ma już żadnej linii do dorysowania, albo pojawia się kolor. Lub dzieje się to mniej więcej w tym samym czasie. Tzn. albo szkic jest już *nasycony*, albo widzę, że pewne pole/pola mają określony kolor. Tak, myślę, że zwykle pojawienie się koloru sprawia, że sięgam po pędzel. Bo z tym szkicem, nigdy nie wiadomo na pewno, czy to już koniec. Chodzi raczej o podążanie za tym co się dzieje, niż decydowanie, że coś jest dobre. Trudno mówić o jakiegokolwiek świadomej decyzji.

Istnieją także prace bez szkicu, rozpoczęte od zamalowania pewnego fragmentu kolorem, reszta kształtów i kolorów pojawia się w trakcie, nie potrzeba *szkieletu*. Są bardziej *domalowywane*, niż nakładane na to, co jest (*Blue Abstract Landscape*). Trochę tak, jakby szkic gdzieś był, gdzieś są te linie określające gdzie kończy i zaczyna się dany kolor, ale nie ma potrzeby rysowania ich, żeby *wiedzieć* jaki to ma być kształt. Praca wymaga dużego zaufania do tego, co się dzieje. I równocześnie swobody. Jest to z jednej strony płamienie w ciemno, ale z drugiej kształty te są w dziwnie jasny sposób określone, mają swoje granice.

Kolory po kolei się pojawiają. Na etapie końca szkicu i/lub pojawienia się pierwszego koloru wciąż nie mam wyobrażenia o całości. One zazwyczaj przychodzą pojedynczo, czasami znam/przeczuwam kolejne dwa, w porywach trzy kolory. W pewnym sensie widzę je tam, pojawiają mi się, zanim nawet zdążę się zastanowić. W ogóle się nie zastanawiam, tylko patrzę. Odpowiedź właściwie zawsze przychodzi (jeśli maluje się mając powód).

W tym kontekście można powiedzieć nieco o wolności, a raczej czystości, o której wspomniałam na początku. Żeby praca z kolorem odbywała się bez zakłóceń, nie mogą i nie istnieją dla mnie ulubione kolory oraz takie, których nie używam. Bardzo dziwnym kolorem, o którym nigdy wcześniej nie myślałam i zaczął się pojawiać w pracach jest np. cielisty. Taki kolor nie-kolor. Nie wiadomo, o co z tym chodzi, ale pojawia się, więc jest. Podobne poczucie miałam, gdy zaczęło się pojawiać tyle żółtego. Dało mi to do zrozumienia, że podczas malowania ważny jest właściwie stosunek obojętny do tego, co się dzieje. Nie - *coś mi się podoba, to musi być tak*, albo deklaracje w rodzaju: *ja TAK nie maluję*.

Tym tropem dochodzimy do pułapki zwanej stylem. Z perspektywy twórcy dążenie do posiadania stylu uważam za więzienie. Nie interesuje mnie zdobycie go, ponieważ maluję, to, co przychodzi BEZ WZGLĘDU NA TO, CZYM MIAŁOBY TO BYĆ. To istota mojej pracy. Jeśli przez kilka lat będę to np. zielone twarze, to będę malować zielone twarze, jeśli okaże się, że co miesiąc jest to coś bardzo odmiennego – także.

Uważam, że zamykanie się w stylu byłoby nie tyle ograniczające, co zupełnie sprzeniewierzające się całej idei tworzenia. Niejeden pewnie stwierdzi, że przecież ja mam styl – w porządku, ale jest to raczej skutek uboczny, niż podstawa mojej pracy. Mieć coś, a być przez to zniewolonym, to odległe sytuacje.

Z pomocą nadchodzi Picasso:

*Malarze zazwyczaj sporządzają sobie foremkę do ciastek i dalej robić ciastka. Wciąż te same ciastka. I są zachwyceni. Malarz nigdy nie powinien robić tego, czego się po nim spodziewają. Najgorszy wróg malarza to styl.*³

Najłatwiej byłoby mi mówić o tym, czego nie robię, od czego (przynajmniej wydaje mi się), że jestem wolna. Pomimo trudności, z większym lub mniejszym sukcesem, mówię o procesie. Jednak najtrudniej jest mi mówić o samych pracach, wobec których często czuję się bezsilna i w ogóle ich nie rozumiem. Są niczym obiekty z obcego świata.

Bywa tak, że po namalowaniu czegoś uznaję, że jest w porządku. Zdarza się to rzadko. Wiele prac zaraz po powstaniu zwykła budzić we mnie konsternację, czasami wręcz pewnego rodzaju zakłopotanie, bo tak bardzo nie wiedziałam co z tym zrobić. Nie fizycznie, raczej na zasadzie braku jakiegokolwiek gruntu pod nogami. Tzn. jakiś pozorny grunt zbudowany na poprzednich pracach chwieje się i zapada po pojawieniu się nowej. To także nieco ewoluowało, te prace zawsze będą obce, ale myślę, że po prostu nieco przyzwyczałam się do tego procesu, nie spodziewam się niczego, co miałoby sens. Wcześniej także nie miałam wielkich oczekiwań, ale siłą rzeczy malując codziennie, można by pomyśleć, że będzie to szło w jakimś kierunku. Od pewnego czasu mam do moich obrazów stosunek nieco bardziej obojętny, większy dystans. Wiem, że potrzebuję czasu, żeby przyzwycząć się do ich istnienia, dlatego nie ma co się nimi za bardzo przejmować. Dumam nad nimi czasami. Wiem, że nie zrozumieć; nie są do rozumienia.

Picasso:

*(...) Kiedy zaczyna się malować obraz, nigdy nie wiadomo co z tego wyniknie. Kiedy się go kończy, także nic nie wiadomo. Można by powiedzieć, że malarstwo dojrzewa do stanu, w którym nadaje się do odbioru.*⁴

Pomimo braku wyraźnej spójności istnieje kilka głównych tematów/motywów, które przewijają się w mojej twórczości przez ostatnie dwa lata. Ważną i dużą grupą są twarze ludzkie. W ogromnej większości nie odnoszące się do istniejących i znanych mi osób. Powiedziałabym nawet, że nie odnoszą się także do wymyślonych osób, tak jakby w ogóle nie odnoszą się do pojedynczych osób. Są dla mnie czymś w rodzaju

³ A. Malraux, *Głowa z obsydianu*, PIW 1978, s.77

⁴ A. Malraux, *Głowa z obsydianu*, PIW 1978, s.67 - dojrzewa malarstwo, odbiorca, a może obydwójce?

uobecnienia idei twarzy. Synteza, esencja. Ocierają się o idee człowieczeństwa jako takiego. Nie będąc wiernym przedstawieniem twarzy, równocześnie odzierają z maski. Istnienie i człowieczeństwo. Chyba o to w nich chodzi.

Kilka powstało w oparciu o małe zdjęcia ze starych encyklopedii. Miały być ćwiczeniami w malowaniu różnych typów twarzy, przy równoczesnym zachowaniu swobody twórczej. Wybór ich nie był przypadkowy, i nie podyktowany także żadnym kluczem. Odbył się na zasadzie przeglądania encyklopedii w poszukiwaniu czegoś, co wzbudzi moje zainteresowanie.

Ważnym elementem wielu twarzy są oczy. Bliskie spojrzenie. Intymne? Raczej rzucające wyzwanie. To raczej lustra niż spotkania. Spotkania w lustrach. Nie chodzi o mnie. To nie ja jestem w tych obrazach. Mam poczucie, że jest mnie tyle ile każdego innego człowieka. Albo w ogóle. Bo co miałyby to oznaczać? Bardzo odległe jest mi myślenie o sztuce jako o rodzaju psychoterapii. Nie wykluczam, że moja osobowość wpływa na to, co maluję, że pewne prace mają coś wspólnego z moimi stanami emocjonalnymi/psychicznymi. Relacja ta jest jednak na tyle znikoma i nieuchwytna, zakopana pod stosem kresek i plam, że uważam ją za nieistotną, roztrząsanie jej byłoby ogromną stratą czasu.

W niektórych portretach można doszukać się podobieństwa z autorką. Ale nawet w tych wypadkach nie mam poczucia, że chodziło o mnie. Moja twarz potraktowana była w podobny sposób jak te małe z encyklopedii. Jako odniesienie, punkt wyjścia, aby nie malować zupełnie z wyobraźni. I czasami nie miała być także malowana w oparciu o płaskie zdjęcia. Z braku modelu lusterko jest najlepszym wyjściem.

Wiele obrazów nie przedstawia niczego co potrafiłabym nazwać. Jeśli chodzi o abstrakcje nieco bardziej zgeomatryzowaną, można by doszukać się analogii z pejzażem miejskim. Z jakimś miejscem ogólnie. Nie twarz, nie obiekt - miejsce. Czy konstrukcja tych miejsc posiada jakąś logikę? Myślę, że tak. Wyglądają na zawieszone pomiędzy chaosem, a ładnie złożonymi klockami. Często geometria miesza się z elementami płynnymi, powietrznymi. Elementy sprawiające wrażenie stałych rzucone są pomiędzy inne, zmienne, oddychające. Relacja bazująca na opozycji, jedno nie mogłoby istnieć bez drugiego, wydają się nierozłączne. Jedno warunkuje drugie, wynika z niego. Niebo i ziemia? Chmury wśród budynków.

Sposób w jaki pracuję daje mi nieraz poczucie pewnego zagubienia, istnienia wielu pytań bez odpowiedzi, spraw rozpoczętych, niedokończonych. W świecie, w którym przyzwyczajeni jesteśmy do postępu ujętego linearnie, jasno określonych przyczyn i skutków, itd. może sprawiać to wrażenie chaosu. Ale czyż kreacja nie powstaje właśnie z chaosu?